

PEERELOWSKIE MŁODZIEŻY CHOWANIE

**Z RYSZARDEM TERLECKIM
ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – Po objęciu po wojnie władzy komuniści, oprócz oczywistego wysiłku na rzecz podniesienia państwa z wojennej ruiny gospodarczej, musieli załatwić bardzo wiele porachunków z przedwojenną Polską, politycznych i ideowych. Jednym z wielu problemów było stworzenie nowego systemu wychowawczego podporządkowanego rewolucyjnemu myśleniu o „wykuwaniu nowego człowieka”.

R.T. – Zanim się tym zajmę, muszę powiedzieć o pewnym fenomenie Polskiego Państwa Podziemnego. Otóż najbardziej rozbudowanym elementem wojennej konspiracji było podziemne szkolnictwo, popularnie określane jako tajne nauczanie, działające na poziomie średnim i wyższym, a czasem nawet także powszechnym. Pod koniec wojny dziesiątki tysięcy młodych ludzi i tysiące nauczycieli uczestniczyło w tej niebezpiecznej pracy oświatowej. Do tego dochodziła podziemna infrastruktura: władze oświatowe, komisje egzaminacyjne, produkcja podręczników, konspiracyjne biblioteczki itd. Oczywiście, przeplatało się to z innymi z formami konspiracyjnej aktywności. Na kompletach uczyli się żołnierze AK, kolporterzy podziemnej prasy, członkowie konspiracyjnego harcerstwa. Pod koniec wojny nie było wiadomo, czy nowe, zdominowane przez komunistów władze uznają ten gigantyczny wysiłek.

B.P. – Oświatowy, ale i wychowawczy, bo przy okazji tajnego nauczania odbywały się również zajęcia pozaedukacyjne, koncerty, dyskusje, spotkania towarzyskie.

R.T. – Trzeba sobie zdawać sprawę z wyższości tej formy nauczania i wychowania nad tradycyjnymi metodami szkolnymi. Uczniowie zbierali się w małych, kilkuosobowych grupach, mieli bezpośredni i bliski kontakt ze swoimi nauczycielami i wychowawcami. W tych warunkach nauka była tak efektywna – przypominała przecież dzisiejsze korepetycje – że rok szkolny mógł trwać nieco krócej. Przestrzegano jednak zasady: jeden rok – jedna klasa.

B.P. – Tajne nauczanie organizowano tylko w miastach czy również na prowincji?

R.T. – To był kolejny sukces podziemia, mianowicie komplety szkół średnich powstawały w miejscowościach, gdzie przed wojną nie było



A. Stefanowski, *Na rusztowaniu*, 1952



gimnazjum i liceum. Działy w wielu małych miasteczkach, ale także po wsiach, co było wielką zasługą konspiracyjnego ruchu ludowego, który bardzo wspierał to szkolnictwo. Na czele Departamentu Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj, czyli konspiracyjnego ministerstwa oświaty, stał ludowiec Czesław Wycech.

Jesienią 1944 r. na Lubelszczyźnie, a wcześniej wiosną na pozostałym obszarze pojałtańskiej Polski, odbywało się przechodzenie tajnego szkolnictwa w szkolnictwo jawne, oficjalne. Okazało się, że kilkuletni wysiłek nie został zmarnowany: zostały zaliczone ukończone klasy i zdane egzaminy maturalne, uznane konspiracyjne studia. To był właściwie jedyny fragment dorobku Państwa Podziemnego, który został uznany przez nową władzę. Powstały komisje weryfikacyjne, które bardzo szybko uporały się ze sprawdzaniem, czy rzeczywiście odbyły się podziemne matury albo podziemne egzaminy magisterskie. Uczniowie nie musieli niczego uzupełniać, zdawać, nostryfikować. Powojenna oświata, odbudowująca się w pierwszych miesiącach po przejściu linii frontu, powstawała na fundamencie wysiłku Państwa Podziemnego, co nie miało precedensu nigdzie w Europie.

B.P. – Czy nauczyciele nie byli represjonowani za swoją działalność?

R.T. – Na ogół nie. Były przypadki represjonowania działaczy politycznych, którzy jednocześnie kierowali komórkami Delegatury Rządu, zajmującymi się oświatą na danym terenie, ale nauczycieli raczej nie szykanowano. Inna rzecz, że w PRL-u nie zamierzano jakoś specjalnie wynagradzać nauczycielom ich trudu w podziemnej oświacie. Jednak władze podziemne, zarówno Rada Jedności Narodu, jak i Delegatura, wezwały nauczycieli do ujawniania podziemnych szkół bez żadnych warunków: po to, aby w sprawie kształcenia młodzieży nie stawiać politycznych barier.

Rzeczywistość polityczna pierwszych lat powojennych stosunkowo łagodnie obeszła się z oświatą, ponieważ podczas moskiewskich ustaleń w sprawie tak zwanego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej resort szkolnictwa oddano Stanisławowi Mikołajczykowi i jego ludowcom. Ministrem został Wycech, dyrektor podziemnego departamentu.

B.P. – Jak szybko nastąpiła weryfikacja programów i podręczników?

R.T. – Dopiero w latach 1948–1949. Trzeba pamiętać, że do 1947 r. PSL, które stało się ogólnonarodową partią oporu przeciwko sowietyzacji Polski, miało duże wpływy w środowisku nauczycielskim. Związek Nauczycielstwa Polskiego (ZNP) był praktycznie kontrolowany przez PSL. Sytuacja zmieniła się po wyborach w 1947 r. i ucieczce Mikołajczyka. Ministrem oświaty został Stanisław Skrzyszewski, PPR-owiec, który kierował tym resortem w komunistycznym Rządzie Tymczasowym od stycznia do czerwca 1945 r.

W 1949 r. komuniści wprowadzili reformę szkolnictwa, zasadniczo zmieniając formułę kształcenia na każdym poziomie. Przedwojenny system 6–4–2 zastąpili systemem 7–4 (siedem klas szkoły podstawowej, cztery lata szkoły średniej). Właśnie wtedy zaczęły się zmiany programów i podręczników, wprowadzono obowiązkowy język rosyjski, zaczęto dodawać nowe przedmioty, a niektóre z dotychczasowych usuwać. Zmiany następowały jednak z oporami, zdarzało się, że nauczyciele wciąż uczyli według przedwojennych programów, wciąż – szczególnie na prowincji – używano starych podręczników.

B.P. – Czy znane są jakieś formy oporu środowisk uczniowskich przeciw reformie, programom, systemowi w ogóle?

R.T. – W dziejach polskich powstań i konspiracji jest to, moim zdaniem, historia najbardziej tragiczna. Mam na myśli tak zwane drugie podziemie, działające w końcu lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych. Kiedy zostało złamane powojenne podziemie zbrojne, kiedy rozbito PSL, po 1948 r. przyszła druga fala oporu. Zrodziła ją legenda Armii Krajowej i powojennej partyzantki. Młodzi ludzie, którzy nie zdążyli na wojnę, którzy mieli za mało lat, by znaleźć się w konspiracji podczas okupacji lub w pierwszych latach po wojnie, teraz zaczęli próbować swej dorosłości. Powstało wiele grup i organizacji podziemnych, tworzonych przez kolegów z jednej klasy, jednej szkoły, jednej rozwiązanej drużyny harcerskiej. Czasem były to organizacje lokalne, kiluosobowe, czasem rozrastały się i obejmowały nawet kilka powiatów. Tę tragiczną konspirację tworzyli młodzi ludzie bez doświadczeń, bez niezbędnej wiedzy. Drukowali i rozrzucali ulotki, malowali antykomunistyczne hasła, zrywali czerwone flagi, a czasem zdobywali broń i jej używali. Setki takich grup likwidowała bezpieka i traktowała je tak samo brutalnie jak dorosłe podziemie. Ci chłopcy i dziewczęta byli torturowani, a następnie dostawali ciężkie wyroki, z wyrokami śmierci włącznie.

B.P. – Zdarzało się, że młodzi ludzie, którzy koniecznie chcieli walczyć, byli wciągani w środowiska bandyckie.

R.T. – To zdarzało się raczej rzadko, bo były to grupy bardzo ideowe. Także dorosła konspiracja tych lat różni się od poprzedniej z bardzo prozaicznego powodu. Po wojnie można było liczyć na poparcie społeczeństwa, wielu ludzi nie bało się pomagać partyzantom czy ukrywającym się konspiratorom. Wzmagający się terror UB sprawił, że w miarę upływu lat już nie można było liczyć na pomoc, na żywność i nocleg, na opiekę nad rannymi, na informacje. To wszystko trzeba było teraz wymuszać z bronią w ręku. Trzeba było też zdobywać pieniądze, a napady, nawet na instytucje państwowe, komunistycznej propagandzie łatwo było przedstawiać jako napady bandyckie.





Wciąż jeszcze nie znamy skali tego zjawiska, nie wiemy, ile było podziemnych organizacji młodzieżowych, uczniowskich, studenckich. Zdarzało się także, że tajną organizację zakładała bezpieka, żeby ściągnąć do niej tych najodważniejszych, najbardziej zdeterminowanych, najbardziej wrogo nastawionych do reżimu.

B.P. – Posługując się ich rówieśnikami?

R.T. – Tak. Wciągała młodych w różne nielegalne przedsięwzięcia, obserwowała ich, uzbrajała, a gdy dochodziło do pierwszych akcji – uderzała. Tortury w śledztwie powodowały szerokie wyspy, łamanie charakterów, wydawanie kolegów.

B.P. – Jednak byli wśród nich niezłomni, tacy, którzy zapłacili za działalność życiem.

R.T. – Tak, oczywiście. Wśród wielu przykładów można wymienić krakowski proces Marka Kublińskiego i jego kolegów na początku lat pięćdziesiątych. Kilku licealistów założyło tajną organizację i po jakimś czasie mało efektywnej działalności postanowiło przystąpić do akcji zbrojnych. Wczesnym rankiem na Plantach dwóch z nich podjęto próbę rozbrojenia milicjanta. W czasie szamotaniny milicjant został postrzelony, a chłopcy ratowali się ucieczką. Jeden z nich zginął w czasie podjętego natychmiast przez UB pościgu, drugi, Kubliński, zdołał się ukryć, ale po krótkim czasie wpadł w łapy bezpieki. Postawiono go przed sądem, gdzie usiłowano przedstawić jako pospolitego bandytę. Kubliński zachował się bardzo mężnie, nie krył swojej wrogości do reżimu. Został skazany na śmierć, wyrok wykonano. Sędzia, który wydał wyrok, robił później karierę na Uniwersytecie Jagiellońskim, zresztą nie tylko w okresie stalinowskim, ale i później, co z pewnością należy zapisać do najczarniejszych kart w historii tej uczelni.

A tymczasem od końca lat czterdziestych w szkołach postępowała sowietyzacja, ujawniająca się zarówno w zmianach, wprowadzanych w programach nauczania i podręcznikach, jak i w narzucaniu szkołom obecności organizacji politycznych. Nauczyciele zostali objęci polityczną obróbką, stanowiska kierownicze w szkołach stały się funkcjami nomenklaturowymi, co oznacza, że nie można było zostać dyrektorem lub wicedyrektorem bez zgody PZPR.

B.P. – Może na zasadzie wyjątku, ale w skali województwa zostawiano – powiedzmy – dwóch dyrektorów bezpartyjnych, w skali większego miasta jednego. Mój ojciec, przedwojenny nauczyciel, był dyrektorem dużego zespołu szkół pedagogicznych, mimo przeszłości żołnierza BCh, konspiracji PSL-owskiej, a nigdy nie był partyjny.

R.T. – Tak, ale takie przypadki to rzadkość. Komuniści byli w trudnym położeniu, bo nie mieli odpowiednio wykształconej i przygotowanej kadry. Kandydatów na kierownicze stanowiska trzeba było szkolić na rozmaitych przyspieszonych kursach, co wówczas i później chętnie nazywano awansem społecznym. Często jednak tolerowano starych, doświadczonych nauczycieli, zadowolając się wymuszonymi deklaracjami lojalności.

B.P. – W ten sposób tworzono szkolnictwo na Ziemiach Zachodnich, w Olsztyńskim. Tam do pracy jechali przedwojenni ideowi nauczyciele.

R.T. – Podobna sytuacja była na uczelniach, gdzie z roku na rok nie dało się wymienić starej kadry profesorskiej. Wprawdzie młodzi huncwajbini z PPR, a później PZPR, próbowali opanować uczelnie (dlatego mieliśmy tak wielu magistrów mianowanych profesorami), jednak trzeba było zostawić chociaż trochę prawdziwych fachowców. Wielu z nich jakoś dotrwało do 1956 r., inni dopiero wtedy z powrotem uzyskali prawo prowadzenia wykładów i seminariów.

Oprócz organizacji politycznych, takich jak PZPR – nauczycieli zmuszano, by do nich wstępowali – pojawiły się w szkołach komunistyczne organizacje młodzieżowe: Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), także bardziej „specjalistyczne”, jak Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (TPPR), od 1951 r. zwane Kołami Przyjaciół ZSRR. Od tej pory dobra ocena w szkole składa się z dwóch elementów: wyników w nauce i osiągnięć w tak zwanej pracy społecznej czy aktywności politycznej. W latach 1952–1954 te organizacje zaczynają rządzić szkołami. Młodzi aktywiści próbują dyktować nauczycielom i dyrektorom, jak zorganizować pracę szkoły, czym powinna zajmować się młodzież na lekcjach, kto powinien zostać wyróżniony najlepszą oceną. Podobnie działo się na uczelniach. W materiałach bezpieczeństwa znalazłem bardzo interesujące materiały dotyczące prof. Konstantego Grzybowskiego z UJ, którego zresztą do przeciwników reżimu zaliczyć nie można i który starał się o przyjęcie do PZPR, ale tam go nie chcieli, bo wypominano mu sanacyjną przeszłość. Grzybowski jako dziekan toczył wojnę z akademickim ZMP, które usiłowało zarządzać uczelnią. Działacze przychodzili oburzeni, że profesorowie oblewają ich na egzaminach – ich, którzy mają ważniejsze sprawy na głowie niż wkuwanie prawa. Grzybowski upierał się, że uniwersytet jest po to, by uczyć, i groził, że nieuków będzie traktował źle, bez względu na ich organizacyjne zasługi.

W latach 1955–1957 przychodzi odwilż, którą najwcześniej widać na uczelniach oraz w szkołach w dużych miastach, w środowiskach młodzieży. Tygodnik „Po prostu”, stalinowska gadzinówka, w ciągu kilku miesięcy 1955 r. przekształcił się w taran odwilżowych zmian, w czym naśladowały go inne gazety. Pojawiły się kluby dyskusyjne, w których po raz pierwszy od siedmiu czy ośmiu lat można było otwar-





cie wypowiedzieć swoje zdanie, zadać pytanie nie uzgodnione wcześniej z prelegentem, skrytykować coś lub kogoś bez obawy wyroku za „szepitaną propagandę”. Jesienią 1956 r. na uczelniach zajmowano się przede wszystkim wiecowaniem.

B.P. – Nieoczekiwanie jedną z przyczyn owej odwilży wśród młodzieży stało się spotkanie powszechnie nazywane Światowym Festiwalem Młodzieży.

R.T. – W 1955 r. odbywa się w Warszawie Światowy Kongres Młodzieży, na który przyjeżdżają aparatczycy organizacji komunistycznych z całego świata. Uczestnicząca w nim młodzież jest różnobarwna, przyjeżdżają Murzyni, Amerykanie, ludzie z Ameryki Południowej, śpiewają, tańczą na ulicach – to w dotychczasowej szarej rzeczywistości było niewyobrażalne. Następuje kolejne rozluźnienie reżimowego sztywnego gorsetu. Ale komuniści nie zamierzali pozwolić, by odwilż zatrąta kolejne roczniki. W październiku 1957 r. zlikwidowali „Po prostu”, szkołom i uczelniom znów nałożono ideologiczny kaganiec.

Warto powiedzieć w tym miejscu o katechyzacji, która, o dziwo, przetrwała okres stalinowski. W latach pięćdziesiątych, kiedy najbardziej atakowano Kościół, komuniści nie zdecydowali się jednak na ustawowy zakaz nauczania religii w szkołach. Likwidowali szkoły kościelne, klasztorne, w ogóle szkolnictwo prywatne, także samorządowe, ale religia została w około 30 proc. szkół.

B.P. – Według jakiego klucza w jednych szkołach religia pozostaje, a w innych jej nie ma?

R.T. – Czasem dyrekcji stosunkowo łatwo udawało się zastraszyć rodziców, którzy sami występowali z wnioskiem o usunięcie religii, czasem ksiądz poddawał się presji UB.

B.P. – Od szkół rozpoczyna się proces ateizacji społeczeństwa. W Związku Radzieckim Cerkiew prawosławna i inne kościoły za najgorszy pod tym względem okres w czasach władzy komunistycznej uważają panowanie Chruszczowa, nie Stalina.

R.T. – W 1956 r. katechyzacja wróciła także do tych szkół, z których ją usunięto. Opowiadał mi ksiądz prałat Julian Pudło, proboszcz z Brzozowa, jak jesienią 1956 r. przybiegł do niego na plebanię powiatowy sekretarz PZPR i błagał, aby natychmiast wystać księży do szkół, bo w przeciwnym razie mieszkańcy spalą komitet partii. Księża wrócili, ale na krótko, bo już w 1958 r. znów rozpoczęła się urzędowa ateizacja.

Latem 1961 r. komuniści przeprowadzili reformę szkolnictwa, jednym z elementów stała się „laicyzacja” szkoły. Już we wrześniu religię



wycofano z planów lekcji, co postawiło Kościół w niestłuchanie trudnej sytuacji, bo trzeba było zapewnić dzieciom i młodzieży katechyzację poza placówkami oświatowymi. Należało więc przystąpić do budowy całej ogromnej infrastruktury, dostosowanej do potrzeb kształcenia setek tysięcy uczniów.

Ponadto reforma oświatowa wydłużyła naukę w szkole podstawowej z siedmiu do ośmiu lat. W środowiskach wiejskich czy małomiasteczkowych często nauka ograniczała się do szkoły podstawowej: przymus szkolny do 16 roku życia sprawiał, że uczniowie radzący sobie gorzej repetowali tak długo, aż osiągnęli odpowiedni wiek.

B.P. – A jak wyglądała oświata dla dorosłych?

R.T. – Komuniści, aż do końca swoich dni, lubili się chwalić rzekomymi dokonaniem w dziedzinie oświaty, w tym likwidacją analfabetyzmu. Twierdzili, że ich rządy doprowadziły w tej dziedzinie do jakiegoś przełomu. Oczywiście, to jest bzdura. Likwidacja analfabetyzmu czy upowszechnienie wykształcenia stanowiły proces cywilizacyjny, który przebiegał podobnie niemal na całym świecie. Komuniści przez swoją nieudolność i klasową manię prześladowczą raczej ten proces opóźniali, niż przyspieszali. Zresztą, gdy objęli już pełnię władzy, zlikwidowali dziesiątki szkół, wiele uniwersytetów ludowych, setki rozmaitych kursów. Autentyczna oświata dla dorosłych została zastąpiona przymusowymi szkoleniami, w tym oczywiście politycznymi, ale nie tylko, także fachowymi. Szkoły społeczne, samorządowe, rolnicze, budowlane, rzemieślnicze, handlowe itd., których wiele powstało po wojnie, zostały zlikwidowane, odebrane stowarzyszeniom, które je prowadziły, i fundacjom, które je finansowały. Przy okazji zlikwidowano te stowarzyszenia i fundacje. W oświacie nastąpił więc oczywisty regres, a jego skutkiem były smutne statystyki, stawiające Polskę na szarym końcu Europy na przykład pod względem liczby obywateli z wyższym wykształceniem.

W latach sześćdziesiątych wdrażano reformę, ale już wkrótce po tym, jak ekipę Gomułki zastąpiła ekipa Gierka, zaczęto ją krytykować jako zachowawczą i nie dość naśladowczą sowieckie wzory. Kolejne zespoły ekspertów przygotowywały raporty o stanie oświaty i zgłaszały propozycję zmian. Władze wciąż pamiętały studencką rewoltę z 1968 r. i obawiały się, że młodzież jest niewystarczająco przychylnie nastawiona do reżimu.

Wreszcie w 1978 r. przyjęto model dziesięcioletniej, od dawna obowiązującej w Związku Radzieckim. Nasza reforma napotkała opór nauczycieli, ponadto istniały już namiastki opinii publicznej, działał drugi obieg, wypowiadała się opozycja. Na okres wprowadzania reformy nałożył się kryzys gospodarczy i polityczny, więc ostatecznie w 1981 r. zrezygnowano z forsowania krytykowanego projektu.

B.P. – W historii powojennej oświaty znane są, często udane, próby podejmowane przez starych nauczycieli szkolnych i uniwersyteckich tworzenia pewnych wysepki niezależności w procesie dydaktycznym i wychowawczym.

R.T. – Dość długo, dopóki żyli starzy nauczyciele i starzy profesorowie, ich działalność stanowiła naturalną zaporę dla komunizmu, wokół nich tworzyły się enklawy względnej swobody, w granicach seminarium, ćwiczeń, wykładu. Jeszcze w latach sześćdziesiątych takie autorytety wywierały znaczny wpływ na młodzież. Potem próbowali oni wprowadzać swoich uczniów do zawodu, do instytucji, w których działali. Przedmiotem nieustannego niepokoju rozmaitych organizacji komunistycznych, a także nadzorującej je bezpieki, był problem niedostatecznych mechanizmów kontroli nad procesem przyjmowania młodych ludzi do pracy w szkołach i na uczelniach. Komuniści usiłowali wszędzie wprowadzać swoich ludzi, ale wciąż zdarzały się jakieś przeoczenia i pomyłki.

To bardzo trudna historia, właściwie w ogóle nietknięta. Z wielką przykrością przeczytałem historię Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydaną w tym roku. Składa się ona z trzech rozdziałów; jeden z nich mówi o dziejach Uniwersytetu po wojnie. Proszę sobie wyobrazić, że w tym rozdziale nie pada ani razu słowo komunizm. To tak, jakby napisać historię drugiej wojny światowej i nie wspomnieć o Hitlerze. Pisz się enigmatycznie o ideologizacji i opisuje rozwój Uniwersytetu, śledząc postępy fizyki, biologii czy językoznawstwa, osiągnięcia drobnej garstki ludzi, które w okresie Bieruta czy Gomułki tonęły w powodzi miernoty, marazmu, nieuctwa, arogancji, głupoty i politycznej manipulacji.

B.P. – Czy pojawiła się jakaś alternatywa dla oficjalnego systemu wychowawczo-oświatowego?

R.T. – W latach siedemdziesiątych rozwijał się ruch wychowawczy i oświatowy wokół Kościoła, bardzo prężny, bardzo skuteczny. Wśród rozmaitych inicjatyw zrodził się Ruch Światło-Życie, dzieło księdza Franciszka Blachnickiego, a jego animatorzy, zebrani w marcu 1980 r. na Jasnej Górze, ogłosili deklarację, która otwarcie domagała się odrzucenia systemu kłamstwa i zniewolenia. Także polityczna opozycja rozumiała, że również w dziedzinie wychowania młodzieży należy zmierzyć się z reżimem. Powstały wówczas przedsięwzięcia oświatowe i samokształceniowe, z których najbardziej znane to Latający Uniwersytet i Towarzystwo Kursów Naukowych.

B.P. – Były to jednak bardzo elitarne inicjatywy i obejmowały bardzo niewielkie środowiska.

R.T. – Tak, ale szybko powstała moda na samokształcenie, na zbieranie się i dyskusowanie w małych grupach, na wspólne omawianie



zakazanej literatury. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nastąpiła prawdziwa eksplozja działalności odczytowej, organizowanej przez Kościół i środowiska katolickie, a po Sierpniu także przez „Solidarność” i Niezależny Związek Studentów (NZS).

B.P. – Presja, którą na młodzież wywierała socjalistyczna szkoła i cały oficjalny model wychowania, realizowany przez organizacje młodzieżowe z jednej strony, a z drugiej – ciasnota socjalistycznych mieszkań, szarość życia, bieda większości polskich rodzin – to, między innymi, powody pojawienia się polskiej mutacji kontrkultury młodzieżowej. Proszę powiedzieć coś o jej przejawach.

R.T. – Kontrkultura miała w Polsce dwa oblicza. Jedno wynikało z pragnienia wolności, wyrwania się z sztywnych ram komunistycznej obyczajowości, z potrzeby przewyciężenia klaustrofobii, spowodowanej zamknięciem granic. W latach pięćdziesiątych reprezentowali ją bikiniarze, później hippisi, a w latach osiemdziesiątych – punki. Moda na niekonwencjonalną postawę wobec życia przychodziła z Zachodu, a jej nośnikiem była muzyka, najpierw jazz, następnie rock. Komuniści wciąż marzyli o obozach pracy, które pozwoliłyby rozwiązać problem niesfornej młodzieży. Aż do końca reżimu po rozmaitych zebraniach „plenów” i „egzekutyw” plątały się pomysły przymusowych robót na Żuławach.

Była i druga, ciemniejsza strona frustracji części młodzieży, szczególnie tej wywodzącej się z rodzin biedoty i marginesu społecznego. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w części tych środowisk zaczęła funkcjonować obyczajowość przeniesiona z więzień. Grypsera, czyli język i system zachowań obowiązujący „pod celą”, zaaklimatyzowała się „na wolności”. PRL-owscy chuligani sami nazywali siebie garownikami („garować”, czyli odbywać wyrok), nawet wówczas, gdy nie przeszli przez poprawczaki i zakłady karne. Później to zjawisko rozpląnęło się w szarej strefie komunistycznej gospodarki (cinkciarze, handlarze kradzionego mienia państwowego, rozmaici kombinatorzy, często równocześnie na etatach konfidentów bezpieczeństwa), a otwarte przez Gierka granice pozwoliły na eksport młodocianych przestępców, przede wszystkim do Niemiec.

B.P. – Istnieją tu i ówdzie opinie, że mimo ideologizacji komunistycznego szkolnictwa można o nim powiedzieć, że dawało ono dość wysoki poziom wiedzy. Czy to była utłuda, którą się karmiono, czy tak było rzeczywiście?

R.T. – Bardzo trudno odpowiedzieć na tak generalne pytanie bez badań na temat systemu oświaty w PRL i bez porównania go z dokonaniami innych państw. Wiadomości, jakimi na razie dysponujemy, stanowią zaledwie drobny utamek. Niedoskonałość naszej wiedzy

dotyczy całej historii najnowszej, ale w zakresie historii oświaty, nauki, wychowania itp. braki są szczególnie dotkliwe.

B.P. – Myślę, że bez specjalnych badań można jednak ocenić na przykład poziom nauczania języków obcych. Wykształciliśmy całkiem niezłą armię analfabetów w tej dziedzinie.

R.T. – To prawdziwa katastrofa edukacyjna, z którą mieliśmy do czynienia jeszcze dziesięć lat temu. Ale przecież komuniści fałszowali liczne dziedziny wiedzy: historię, socjologię, ekonomię. Ponadto przez pół wieku Polacy uczyli się niechęci do państwa, w którym żyli, ponieważ większość uważała, że jest to państwo im narzucone. Młodzież podpatrywała dorosłych i podobnie odnosiła się do szkół i uczelni, gdyż były to przecież również oficjalne, państwowe instytucje. Taką niechęć do instytucji bardzo trudno jest wykorzenić i zamienić na sympatię.

B.P. – Czy to była wrogość do instytucji, czy do samego poszerzania wiedzy?

R.T. – W PRL-u było przyjęte, że okradanie państwa nie jest niczym nagannym. W PRL-owskiej szkole ściąganie, odpisywanie zadań, korzystanie podczas klasówki z ukrytych „pomocy naukowych”, a więc tym samym oszukiwanie nauczycieli, uważane było za postępowanie jak najbardziej właściwe. Jeszcze długo będziemy odczuwać wychowawcze skutki komunizmu.



Ryszard Terlecki, ur. w 1949 r., dr hab., historyk i publicysta, uczestnik antykomunistycznej opozycji w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, naczelnik Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie. Zajmuje się historią najnowszą po 1945 r. oraz historią nauki i oświaty w XIX i XX wieku. Autor między innymi: *Oświata dorosłych i popularyzacja nauki w Galicji w okresie autonomii*, Wrocław 1990; *Dyktatura zdrady. Polska w 1947 r.*, Kraków 1991; *Uniwersytet Latający i Towarzystwo Kursów Naukowych w latach 1977–1981*, Kraków–Rzeszów 2000.